№ 23. Piątek, dnia 5 Marca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 21 lutego (5 marca) 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

NA CMENTARZU.

WSPOMNIENIU ZMARŁEJ CÓRECZKI SWOJEJ POŚWIĘCA

Bogumił Aspis.

I.

Są jedni, co się modlą do bogini złota —
Inni, czoła schylają przed bożyszczem sławy —
Inni jeszcze gotowi na puste zabawy
Dać wszystkie choćby chwile swojego żywota...

Szczęśliwi!... ktoż z nich pojmie, żem ja skarb swój cały,
I wszystko, com miał tylko najlepszego w świecie,—
Złożył w twojej trumience, moje drogie dziecię!
Pod ten kamień — ten krzyżyk — w ten twój grobek mały!

Czy też prawdą, dziecino! że po ziemskim kale,
Przechodzi się do życia lepszego gdzieś w niebie, —
O! wyproś mi śmierć prędzej... nie dla nieba wcale,
A dlatego, bym mógł tam odnaleźć znów ciebie!

II.

Kolebeczka twa była z dębowego drzewa...
A zdała mi się gniaździkiem uwiniętem z kwiatów,
W któreś, niby ptaszyna z nadpowietrznych światów,
Zeszła rankiem i śpiewasz — co w niebie się śpiewa!

Słuchałem też, — złożywszy w modlę ręce obie, —
Tej pieśni, godzinami długich nieraz nocy...
Odchodząc, — gdy już więcej nie stało mi mocy
Znieść szczęście, którem Bóg mnie udarował w tobie...

Uciekłaś jednak!... zmilkły niebiańskie piosenki!...
I dziś, cóż mam po wszystkiem — krom łez i tęsknoty,
Z którą patrząc się nawet w sam blask słońca złoty,
Nię widze nic — prócz grobu i twojej trumienki!

III.

Śliczny to był aniołek!... Małemi rączkami,
Trzepotał, jak ptaszyna, co rwie się w niebiosa —
Miał oczęta... jak habry, które zwilży rosa,
Lub je rankiem złoconym świeży deszcz przyplami —

Czoło takie szerokie, miała ma dziecina,
Jakby pod niem się myśli już jakie krzątały —
Musiał tam być w tej główce, rozumek niemały!...
A do figlów, zabawek była też — jedyna!..

Bywało — gdy po pracy całodziennej gwarze,
Wrócę do niej pod wieczór, — to wraz moja mała,
Jakby tylko mnie gwoli żartom swym mieć chciała!
Przyczepia się do kolan i bawić się każe...

Psotnica!... a jednakże, gdy jej się zachciało
Lepszego, gdzieś tam w górze, z aniołkami światka, —
To zaklinał ją ojciec — zaklinała matka —
Nie pomogło!... pomknęła pod obłoki strzałą!

(*D. c. n.*)

POKĄTNI DORADCY.

Nos duży, ostry, krogulczo zakończony... czoło płaskie, zmarszczone... zielonawe oczy.... wąskie, bezkrwiste usta i podbródek jak... u starego skąpca w illustracyi do bajki Lafontain'a, —oto macie obraz *pokątnego doradcy*.

Duszyczka ta nosi zwykle na sobie długi, piaskowego koloru surdut, — wielki, szeroki krawat na szyi,—na głowie baranią zatłuszczoną czapkę,—na ramionach coś w rodzaju płaszcza czy algierki... aby to się tem było można i osłonić przed mrozem jako tako i było gdzie chować pliki papierów, bez których się poczciwa ani na krok nigdzie nie rusza. W rzeczonym też płaszczu czy też algierce, pełno masz pod spodem większych i mniejszych kryjówek, kieszeni, kieszonek i zapodszewek, a każda z nich, jak półka w szafie archiwisty, na akta innego rodzaju służy.

Otóż gdy ten anioł, tak odziany i uzbrojony, z miłym uśmiechem swoim i układną minką, mrugając oczyma i mlaszcząc językiem, jak kot czujący blisko śmietankę, zbliża się do cię i ukłon ci swój oddaje,—czegóż chce on, proszę? czegóż żąda?

Chce całkiem niewinnej, najniewinniejszej w świecie rzeczy.

Obskubać cię oto troszeczkę z pierzy, obedrzeć cię ze skórki, nic więcej,— ograbić cię, ogołocić z mienia, któreś sobie długą pracą musiał zebrać nieraz,—narobić ci przy tem wszystkiem nieco jeszcze kłopotów i zmartwień, sen ci odebrać, któryś miał może spokojny... i za tyle przysług, za tyle dobrodziejstw, chce tylko od ciebie datku z kilkunastu lub kilkudziesięciu rubli, na które, jeśli gotówką mieć ich nie będziesz, chętnie, jako względny wierzyciel poczeka.

Takim jest numer 1-szy *pokątnego doradcy*. —Mówimy *pierwszy*, licząc od dołu.—Najzwyczajniejszy i najpośledniejszy. Lecz po nim następuje dopiero cały szereg tych aniołów, coraz lepszych i lepszych, wszystkich jednakowo miłych i słodkich, jednakowo gotowych zbawić cię w każdej chwili... a różniących się tylko pomiędzy sobą drobnemi już pewnemi właściwościami, dla rozpoznania których wprawniejszego potrzeba oka.

Oto patrz czytelniku... ten tłusty i krępy jegomość, z jowialną, wesołą a otwartą fizyognomią, rumiany i pulchnolicy jak Holender, z blado-niebieskawemi małemi oczkami...

Niepodobna przypuścić na oko, aby to był braciszek tamtego — a jednakże tak jest, zaiste!

Ten pan nosi już na sobie porządny paletot lub futro—kapelusz od Glancroka (jest bowiem Warszawiakiem), — z całej miny, ze wszystkiego, znać w nim poczciwego szlachcica, który sobie oto żywot pędzi, jak mówią *po bożemu*. Chodzi codziennie prawie do kościoła, codzień po obiedzie pije czarną kawę w cukierni i... codzień, ranek cały, spędza w okolicach Krasińskiego Placu, broń Boże nie dlatego, aby tam miał własny jaki interes... nie!.. lecz, że tam najłatwiej zdarzyć się może okazya przyjścia z pomocą i poradą jakiemuś przybyszowi z prowincyi, który mając w sądzie sprawę do załatwienia, a nie znając formalności ni też żadnego z obrońców,—mógłby przepaść biedaczysko bez usługi takich właśnie ludzi, jak on!

Więc ten pan chodzi tam tylko, by podobnie zabłąkane owce ratować.

Zacny taki człowiek, rozumiecie?

Poświęca się! czy pojmujecie?

Mimo tego jednakże, drogi czytelniku z prowincyi!.. jeśli spotkasz, za bytności swojej w Warszawie gdzie przed sądem albo w cukierni, pana takiego, zbliżającego się do ciebie i ofiarującego ci wkrótce potem zaraz przyjaźnie swoje usługi, choćby pan ten sto razy przysięgał ci się nawet na duszę, iż *radjest wszystko zrobić dla tak miłego jak ty człowieka*,—czytelniku!! radzę ci szczerze, pożegnaj się z nim co najprędzej, i wziąwszy za pas nogi, uciekaj prędzej jeszcze. Pan ten bowiem... to także *pokątny doradca.*

Pierwszy numer—tamten—był sobie powszednim dopiero, najlichszym i najmniejszym rycerzem tylko tej chorągwi... niby handlarz uliczny w stosunku do właściciela sklepu..Jak handlarz uliczny, gotów on też chodzić od domu do domu po mieście, i bez ceremonii pytać się każdego, co w drzwiach stanie: „a niema tu czasem spraw do załatwienia?“

Ten, to już co innego—ten się liczy z ambicyą i z godnością—chce sobie u świata zachować dobre imię—chce być szanowanym przez owce, które strzyże—i chce... aby kiedyś nad grobem jego, gdy już raczy się przenieść w krainę wieczności, kapłan koniecznie rzekł do zgromadzonych: „Oto zacny katolik! niech ziemia mu lekką będzie!

Czemuż bo i ziemia ciężką by mu być miała?—pytamy.

Mógłże zrobić człek ten co złego komu, poświęcając się tak dla ludzkości?

No, wprawdzie opowiadają o nim anegdotki. Miał on podobno jakąś sprawę niedawno z pewnym szlachcicem obywatelem, z której wyszedł jak to mówią... niezupełnie czysto. Lecz czy to tylko prawda? czy to prawda?

Podobno szlachcic jakiś, zjechawszy do Warszawy, aby się z sąsiadem, z którym miał proces o miedzę, na sądzie polubownym pojednać i ułożyć,—trafił na tego pana w jakiejś cukierni. Pan dowiódł szlachcicowi, iż sprawa jest jak szkło czystą—dowiódł mu, że szkoda tracić coś bez powodu—i dowiódł, że lepiej zrobi nie przestając się procesować.

Szlachcic widząc człowieka, co tak szczery a gorący udział w interesach jego przyjmuje, pocałował pana w oba policzki, i za butelką Węgra oddawszy mu swoje papiery, prosił, aby się zajął sam jego sprawą. Zacny człowiek podjął się chętnie. Wziąwszy od szlachcica jakąś tam kwotkę, na koszta naturalnie sprawy,—przyrzekł, że ją zaraz nazajutrz rozpocznie. Szlachcic był w niebie. Odjechał. Aż oto po jakimś tygodniu zaledwie, zacny człowiek doń pisze, aby mu znów przysłał pieniędzy. Jeszcze po tygodniu—to samo. I! jeszcze to samo—po tygodniu. „A! do diabła“—myśli tu już procesowicz — „toć ten Dobrodziej ze skóry mnie obedrze! Wydałem już więcej, niż wartą jest sporna ziemia—a tu jakoś, czuję daleko jeszcze do końca!“

Szlachcic miał długi—wpadł w większe jeszcze—Berek zresztą już wcale nie chciał pożyczać.

Rzecz się tem skończyła, iż pojechał znów do Warszawy i... gdy tu się dowiedział, że sprawa nie tylko nie skończona ale wcale nawet nie zaczętą jest jeszcze,—powiedziawszy zacnemu panu tylko „jesteś oszust,“ odebrał od niego papiery swoje napowrót.

Dowiedział się podobno przed wyjazdem jeszcze, iż zacny brat szlachcic (wspólnego z nim podobno nawet herbu!) to samo jeszcze zrobił panu A, panu B, i wielu innym... ale...

Czy to tylko prawda wszystko? czy to prawda?

Takim jest nowy ten *numer*.

Lecz żart na stronę, szanowni-czytelnicy!

Pytam was oto na serio—czy jest w społeczeństwie naszem plaga, któraby podobnie szeroko rozrosłszy się w jego organizmie, trudniejszą jednakże była do wyleczenia, jak właśnie tak zwane—*pokątne doradztwo?*

Chyba odpowiecie bez wahania, że nie!

Naród nasz od wieków, z natury już samej swójej, odznaczał się niezwykłą skłonnością do *pieniactwa*. Wytworzyła się ztąd wpośród niego, od niepamiętnych także wieków, odlzielna niejako kasta ludzi, której cała działalność na tem się tylko polu wyłącznie, w sposób wybitny i wyjątkowo dosadny, ujawnia. Całe setki próżniaków eksploatują, jak wiemy, tę rodzimą słabość krwi naszej, tę naszę do pieniactwa namiętność i typy wyrosłe na gruncie tej społecznej wady, na każdym kroku spotykać się pośród nas dają.

W niższej i średniej klasie społeczeństwa—pełno ich wszędzie.

Są *pokątni doradcy* chłopi—i są też doradcy panowie.

Wszystkim chodzi o jedno—o życie bez pracy, pod skrzydłem samej tylko ludzkiej *głupoty!*

Nieznajomość prawa, którą się, obok manii powyższej do pieniactwa, zwykle dziś odznaczamy, jest dla tych panów podwójną jeszcze pobudką do brania się za rzemiosło *wyzyskiwaczy*.

Wiedząc, że *sprawiedliwość* o której poczciwcy jacyś gdzieś tam marzą, i którą przypisują bezwzględnie sądom, jest sobie często gęsto ładnym tylko frazesem, który w praktyce inaczej całkiem brzęczy, niźli w świętej *teoryi* czyli w zasadzie,—korzystają z nabytej praktycznie znajomości, nie powiem prawa... a form tylko prawniczych czyli formalności, by przy pomocy tej wiedzy, wyprowadzać prostaczków w pole. Widząc nieraz doskonale, iż sprawa przegraną być musi, doradzają jednakże stronie interesowanej, procesowanie się z drugą stroną i to najzawziętsze. Mimo, że od tego są obrońcy i mecenasi,—*pokątny doradca* taki, podejmuje się sam wówczas zwykle bronić swojego klijenta. Naiwny poczciwiec, któremu lis podobny przyrzeka złote góry na razie, zgadza się na jego wszystkie przedstawienia i złożywszy mu naturalnie przedewszystkiem zaraz z góry, pewną kwotkę pieniężną na koszta niby sprawy, sam jest już odtąd niemym tylko świadkiem własnej ruiny, zmuszonym przypatrywać się bezdarnie temu, jak grosz z jego kieszeni w ręce zacnego protektora przechodzący, marnie i bezpowrotnie ginie. *Pokątny doradca* bowiem wiedząc, że nie podlega żadnej względem swego klijenta odpowiedzialności, nie szczędzi go wcale, domagając się coraz nowych i nowych datków, pod zagrożeniem, że bez nich sprawa, na którą się *już tyle wydało*, przepadnie. „Wydało się już taki grosz ogromny—toż trzeba do końca rzecz już prowadzić myśli sobie procesujący się poczciwiec—i... *prowadzi*—*prowadzi* też rzecz, aż do czasu, dopóki się nie spostrzeże, że w portmonetce jego zostały już tylko dwa grosze!

U OGNISKA.

—**N.**— Post zawitał już do nas wraz z tem wszystkiem, co należy do charakterystycznych jego znamion. Ubiegły tydzień był tego najwymowniejszym dowodem. Możnaby go nazwać, bez żadnej przesady, tygodniem *koncertów*, *odczytów* i *ogólnych zebrań*. Każdy, najbardziej nawet wymagający mieszkaniec naszego grodu mógł dla siebie znaleźć zajęcie, rozrywkę lub przyjemność. Kapitaliści obradowali nad stanem dróg żelaznych, towarzystw zaliczkowych i łazienek akcyjnych, a w każdem z tych zebrań dywidenda nie na ostatniem znajdowała się miejscu. Ekonomiści obradowali nad losami stowarzyszenia spożywczego, pod nazwą *Merkury*; melomani wreszcie, odbyli burzliwe posiedzenie dotyczące zmiany ustawy towarzystwa muzycznego. Wszystkie te zebrania nie były bez interesu dla ogółu, a ludzie rozważnie i spokojnie na rzeczy patrzący mogli nadto poczynić wiele uwag co do ogólnego naszego usposobienia i znajomości form parlamentarnych. Szczególniej ogólne zebranie członków towarzystwa muzycznego mogło pod tym względem wiele bogatego dostarczyć materyału. Istniejące od lat czterech towarzystwo nie potrafiło jakoś wyrobić sobie tego uznania u publiczności, jakiego miało prawo się spodziewać. Czyjaż w tem wina, czy zarządu czy członków? Nam się zdaje, że poczęści może zobopólna, albo właściwiej mówiąc, że nie ma winy z niczyjej strony, a jest tylko nieporozumienie. Członkowie towarzystwa chcą mieć miejsce rozrywki i tylko rozrywki i dlatego popularne piątki cieszą się powodzeniem i natłokiem zebranych słuchaczów, gdy tymczasem wielkie i dwutygodniowe koncerty najczęściej świecą pustkami. Członkowie pragną spopularyzowania koncertów na wzór i podobieństwo piątkowych zebrań—Zarząd przeciwnie chciałby koncerty uczynić jeszcze bardziej poważnemi, a zebrania piątkowe podnieść do znaczenia koncertów. Członkowie pragną się bawić, a zarząd ośmiela się występować z zamiarem ich kształcenia, i gotówby jeszcze może na zwyczajne zebrania wprowadzić jakie fugi, sonaty lub symfonie, kiedy członkowie woleliby coś w rodzaju śpiewek, jakiemi ich któregoś piątku uraczył pan Chodźko, chociażby one nawet przypominały nieco owe dobre czasy warszawskiego Eldorado. Mniejsza o to, aleby się przynajmniej można dowoli uśmiać i ubawić za swoje pieniądze. Tak niezgodne zapatrywanie się na przedmiot najważniejszy, bo na cel towarzystwa, musiało doprowadzić do starcia, którego skutkiem było podanie się całego zarządu do uwolnienia. Czy wybór nowego komitetu mający się odbyć w końcu bieżącego tygodnia zdoła zażegnać burzę wiszącą nad towarzystwem, czy nowy zarząd potrafi

Tak, z powodu nieznajomości form prawnych,—jako też głównie z powodu, że nam się chodzić bardzo często, za własnemi swojemi interesami nie chce,—przegrywamy nieraz nie tylko cały swój majątek i mienie, ale i zdrowie jeszcze, gdyż nierzadko, zdarzające się nam niepowodzenia, o istotne i bolesne nawet choroby nas przyprawiają.

Ileż to tragedyj z przyczyn podobnych, odbywa się codziennie wpośród naszego społeczeństwa!—ileż rodzin pada ofiarą łatwowierności opiekunów swoich!—ilu ludzi zostaje doprowadzonymi do rozpaczy!

Trudno to doprawdy detalicznie wykazać. Zakres artykułu nie pozwala nam też wystawić przed oczy czytelnika samych chociażby konturów tych obrazów, któreby mu dały ściślejsze pojęcie o tem, czem są skutki wspomnianej przez nas namiętności do *pieniactwa*, połączonej z najwyższą *łatwowiernością*, prowadzącą nas właśnie w ręce *pokątnych doradców*.

Żałujemy, że przedstawiwszy czytelnikowi parę tylko typów z *najwięcej* i *najmniej* znanych, które rzemiosłu temu się oddają,—zmuszeni jesteśmy, dla tej samej raz jeszcze przyczyny, na nich się ograniczyć i poprzestać.

Słów więc tylko parę jeszcze o pewnych charakterystycznych formach, w jakich *pokątne doradztwo* u nas, w zaułkowym bycie swoim i lękającem się dziennego światła funkcyonowaniu, przejawiać się zwykło. Mamy na myśli klasę tak zwanych *dependentów* przy adwokatach, pomocników także przy komornikach, woźnych sądowych, etc...

Otóż, pomijąc dwie ostatnie kategorye stopni prawniczych, stanowiące także, jak wiemy, bardzo znaczny kontyngens w zastępie *pokątnych doradców*,—pomówimy tylko o pierwszej, to jest o kategoryi tych prawników, którzy pracują pod bokiem panów obrońców i mecenasów, w charakterze terminatorów niejako na dalszą karjerę jurystyczną.

Chcieliśmy mianowicie zrobić uwagę, iż panowie ci, młodzi zwykle, miłej często nawet powierzchowności, wyglądający też z ubrania na *porządnych* ludzi, i w ogólności, jak to mówią, *niczego sobie*,—odgrywają nieraz wcale nieszlachetne role na scenie swojej początkowej działalności. Każdy z nas, który miał nieszczęście popaść kiedykolwiek w życiu swojem w długi, który musiał się potem z długów tych wyrabiać, aż i nareszcie przy pomocy bożej wyrobił, przyzna, że przyczyną wielu często i wcale niezasłużonych kłopotów, była li tylko chciwość podobnych indywiduów, którzy korzystając z biedy poprostu jego, ciągnęli swe zyski drogą bardzo zbliżoną do *pokątnego zaułkowego doradztwa*.

Niektórzy z tych panów, mając sposobność lepszą od śmiertelników innych, do zapoznania się z fortelami, których w wykonywaniu samej litery prawa użyć może *zła wola*, jeśli się na to uwziąć zechce,—szczupłe mając dochody z zajęcia swojego, a zwyczajem zresztą powszednim u ludzi, chcąc te dochody zwiększyć ile tylko da się,—lubią np. odkupywać sprawy od autentycznych spraw tychże właścicieli, celem przyswojenia sobie zysków, na jakie ta lub owa sprawa szanse podaje... kosztem ze swojej strony bardzo małym naturalnie, a często nawet i żadnym, (mają na względzie wydatek pieniężny, jaki przy podobnej operacyi ponoszą).

Żyd jaki np. lichwiarz, który od dłużnika swojego wyciągnął już trzy razy większą summę, niźli jaką wypożyczył na *prawny* weksel, gdzie stoi wyraźnie, że *prawny* też procent ma być tylko wypłacony od summy! — żyd taki, mówią litując się już trochę nad dłużnikiem, a głównie, myśląc że tą drogą więcej uzyska—chce w układ polubowny wejść z nieszczęśliwą ofiarą.

Zwierza się z tym zamiarem swoim przed tym lub owym ze znajomych sobie panów dependentów. Otóż, najczęściej wówczas pan dependent, jeżeli tylko najmniejszą widzi nadzieję odebrania reszty, niedopłaconej jeszcze od indywiduum które wystawiło weksel,—wytłomaczy lichwiarzowi, iż zna doskonale stan finansowy pan X, że tenże pan X jest zupełnie *nieodpowiedzialnym*, i następnie, (zachwiawszy tym sposobem wszelką wiarę żydka w solidarność i uczciwość jego dłużnika), odkupuje od niego weksel na własność, a to tak, że np. za spodziewane rubli *sto*, które zamierza jeszcze zdobyć dla siebie na ofierze, wypłaca izraelicie rs. *dziesięć* lub i mniej jeszcze. Kupiwszy tak sprawę, zaczyna egzekucyą. Egzekucya ta w srogości swojej, przechodzi zawsze srogość egzekucyi, której zdolny byłby użyć właściwy wierzyciel dłużnika. Pan dependent chcący za 10 rs. otrzymać sto—jest bez litości! Grabi poprostu! Przykładów takiego obrabiania sobie łatwą drogą interesów, mamy, ze strony podobnych panów, tysiące—i co jest najgrzeszym, to, że Władza Wyższa Sądowa, pomimo najzupełniejszej wiedzy o tem w *teoryi*, że adepci prawa, na straży którego ona stoi, nie zawsze są przedstawicielami *sprawiedliwości*, będącej jednakże podstawą wszelkiego prawa,—nie jest w stanie *w praktyce*, tym wyskokom swoichże własnych kapłanów... *laików* chciałem powiedzieć... żadnej postawić tamy ni przeszkody. Rzecz bo widzicie cała, na gruncie ściśle *prawnym* się odbywa! Litera wykonana —to i cóż na resztę poradzić!

Nazywamy to wszystko na tem miejscu niczem lepszem od *pokątnego doradztwa*, i robimy to z przeświadczeniem, że nie przesadzamy wcale.

To też czytelniku!—ty,—który masz jakieś tam z kimś sprawy, lub też gdy te sprawy ktoś ma z tobą,—miej się na baczności przed zasadzkami panów, których opisaliśmy dopiero. Obchodź się bez nich, radzę ci szczerze. Papiery swoje oddawaj w ręce w jakie trzeba. Pamiętaj, że *dependent* u adwokata, nie jest wcale jeszcze adwokatem. Do spraw prowadzenia i bronienia, są obrońcy—a dependent, który się podejmuje rzeczy przechodzących jego atrybucye, jest takim samym *pokątnym doradcą*, jak i inny, każdy tego autoramentu bojownik.

Aby wykazać, do jakiego stopnia często, ci właśnie prawnicy *minorum gentium*, wkraczają w dziedzinę *pokątnego* także *doradztwa* —przytaczam na zakończenie przykład, który mi niedawno jeden ze znajomych mi literatów, jako zdarzenie najautentyczniejsze opowiedział.

Literat był winien pewnemu księgarzowi, 4-ry wyraźnie cztery ruble, które sposobem zaliczki za artykuł, otrzymał był od tegoż przed czterema jeszcze laty. Licząc ciągle na to, że drogą literacką potrafi się wcześniej czy później oczyścić ze swojego długu, nie oddawał wcale owych czterech rubli—owszem, w tymże czasie właśnie, przesłał panu wydawcy, raczej redakcyi tegoż, pewną pracę swoją do nabycia. Nagle otrzymuje pozew, — uważcie tylko!... przy podobnych okolicznościach!... pozew o cztery ruble. Na pozwie stoi, iż dług czterech rubli przekazuje wydawca pewnemu dependentowi przy adwokacie który sprawę prowadzi na rzecz własną.

Zdziwiony, że wydawca, nie uprzedziwszy go tym razem o potrzebie zwrócenia mu długu gotówką, mimo nawet osobistego widzenia się z nim niedawno, zdecydował się jeszcze kompromitować go przez przekaz w inne ręce kwoty należnej, literat pospiesza do wierzyciela, i powiedziawszy mu *verba veritatis*, rzuca przed nos jego cztery ruble. Nie bierze przy tem pokwitowania!

Czy wiecie, czytelnicy jak się rzecz skończyła? Literatowi przedewszystkiem przepadły owe 4 r. Wydawca mówił, że je odesłał dependentowi.— Pan dependent mówił, że ich nigdy nie odebrał.

---

polepszyć finansowe położenie tej instytucyi równocześnie uczynić zadosyć wymaganiom członków to czas dopiero pokaże. Dziś to tylko jeszcze wypada nam zaznaczyć, że zgromadzeni członkowie towarzystwa muzycznego dowiedli w niedzielę swoim zachowaniem się, że daleko im jeszcze do dojrzałości parlamentarnej, potrzebnej koniecznie przy tego rodzaju zebraniach, której dowody dawały nam już wielokrotnie podobne zgromadzenia innych instytucyi i towarzystw.

Stowarzyszenie spożywcze Merkury, które w roku zeszłym przeszło także przez fazę przesilenia, szwankuje również w interesach, radzi sobie jednak jak może, myśli o oszczędnościach, ale równocześnie zamierza rozszerzyć program swojej działalności, przez otworzenie dla rzemieślników krótkotrwałego kredytu. Kwestya to ważna i powinnaby obudzić zajęcie ogółu, dlatego też, gdy stanowczo rozstrzygniętą zostanie, powrócimy do niej i obszerniej z nią czytelników naszych zapoznamy. W każdym razie zebranie członków stowarzyszenia Merkury odbyło się spokojnie i porządnie—chociaż także, jakeśmy już wspomnieli chodziło o najdrażliwszą strunę—bo o finanse.

Od zebrań ogólnych przechodząc do prelekcyi musimy zaznaczyć, że odbyło ich się w zeszłym tygodniu aż pięć, z tych cztery na dochód Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych dla małoletnich przestępców, i jeden odczyt dziesięciogroszowy dla rzemieślników. Z katedry w sali ratusza przemawiali kolejno panowie Korzon, Suligowski i Dziewulski—w teatrzyku dobroczynności mówił Juljan Ochorowicz: Powiedzmy słów parę o każdym z tych odczytów.

Pan Tadeusz Korzon, znany już w piśmiennictwie naszem ze swoich prac historycznych, wygłosił rzecz nader ciekawą, lecz i nader trudną zarazem o *życiu umysłowem starożytnej Grecyi*. Przedmiot to tak obszerny, że trudno było prelegentowi pomieścić go w ramach jednogodzinnego wykładu—umiał jednak pan Korzon wybrać z tego nieprzebranego skarbu materyałów najważniejsze i najwydatniejsze, i przedstawić przed oczyma słuchaczów obraz, o ile podobna skończony. Rzecz całą traktował prelegent umiejętnie i poważnie, i dlatego odczyt ten zaliczyć wypada do najszczęśliwszych, jakieśmy w ostatnich czasach słyszeli.

Nie możemy tego samego powiedzieć o odczycie pana Suligowskiego traktującym o *cenach i drożyznie*—a to dla tej jedynej przyczyny, żeśmy go nie słyszeli. Prelegent nie obliczył się z zasobami swojego głosu, i dlatego jego praca została w znacznej części zmarnowaną. A szkoda wielka, bo o ile wiemy, traktowany przedmiot miał być obrobiony sumiennie i umiejętnie, i mógł był przynieść istotną korzyść publiczności, która z rzeczami ekonomicznemi jak najczęściej spotykaćby się powinna. Że pan Suligowski zna swój przedmiot o tem wiemy, bośmy się już z jego artykułami treści ekonomicznej nie raz spotykali, tembardziej więc żałujemy, że słowa wygło-

Koniec końców wyszło, gdy sprawa szła sobie dalej, że biedny literat, zapłacił jeszcze wkrótce 5 rs. kosztów procesu i cztery ruble po raz drugi,—czyli, że razem zapłacił rs. 13!

Domyślacie się, jaka w tem wszystkiem była rola pana dependenta.

No i przytem nie szkodzi, że przepadło literatowi u wydawcy też 4 ruble, danemu niestety! na wiarę, bez pokwitowania. Wszystko to się godzi na bożym świecie!

A wszystko jest skutkiem
1-mo nieuczciwości,
2-do głupoty,
3-o namiętności do *pieniactwa*, i
4-o *pokątnego doradztwa*.

Teofil Tarcza.

Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wład. Wójcickiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Seweryn Goszczyński współpracownik *Ziewonii* i *prac literackich*, pobyt jego w Galicyi i we Lwowie, tłumaczy Ossyana.—Bielowski wydaje jego pisma.—Wyjazd do Francyi.—Zerwana struna.—Lucyan Siemieński.—Rękopism królodworski.—Trąby w Dnieprze. — Wincenty Pol.

Z Goszczyńskiem łączyły mnie oddawna stosunki przyjaźni jeszcze z Warszawy, gdzie parę lat bawił przybywszy z Ukrainy, z ukończonym swoim poematem *Zamek Kaniowski*. Wyjątki z niego dał najprzód poznać *Jan Kazimierz Ordyniec* w *Dzienniku Warszawskim*, (organie naukowym wychodzącym wtedy w miesięcznych zeszytach), objąwszy redakcyę po Maurycym Mochnackim i Podczaszyńskim. Tego czasopisma od lat kilku byłem stałym współpracownikiem, w nim też drukowałem pierwsze prace swoje.

Goszczyński za przybyciem do Galicyi—przedewszystkiem zaraz po mroźnej zimie, udał się w Tatry, i starał się zapoznać zbliska tak z ludem miejscowym jak czarowną krainą gór. Syn równin, dziecię stepów nieprzejrzanych okiem, zachwycał się krajobrazami niewidzianemi, o których marzył tylko w bujnej wyobraźni poetyckiej.

Z powziętym stale zamiarem poznania i zbadania dokładnie ziemi i ludu, opisywał miejscowość w *Dzienniczku* swoim, zbierał pieśni i podania góralskie. Z tego *Dzienniczka*, mamy tylko podane wyjątki na czele pomieszczone w *Ziewonii.*

W owych czasach ta górzysta część Galicyi prawie wcale dla ogółu znaną niebyła, ja sam dopókim zbliska nie zajrzał, marzyłem jak o zaczarowanym kraju. Lubo poeta sam pisze, że podróż jego w Tatry miała „na celu zaspokojenie bardziej uczuć jak oczu,“ przecież w treści opisowej znajdujemy wiele szczegółów etnograficznych, które tylko oczyma badać musiał.

„Urocze Tatrów obrazy, wydobyte z najokazalszego, a tak mało znanego w naszej ziemi zakątku, obudzą może w czyich piersiach podziwienie, może kogo zachęcą, aby swojemi oczyma, sprawdził martwe odbicie olbrzyma dziwów, utworzonego ze skał, chmur i lodów, uchylił własne czoło przed żywem jego obliczem, i westchnął w świętem tajemniczem wzruszeniu. Westchnienie to nie uleci z wiatrem: podniesie ono wartość hołdu złożonego przezemnie kolebce rodzinnych pokoleń; a rozkosz, jaką czułem na łonie ojczystej przyrody, w jej objęciach, będzie mi tem droższa, że z jej kwiatu wywinął się owoc korzyści!“

Goszczyński miał tu na myśli owoc korzyści jaki zdobył studyując Tatry i górali—których maluje w swym dzienniczku, ale ogół zobaczył i kwiat piękny, jaki wyniósł z tej krainy czarownej, dając nam poemat *Sobótka.*

Sam poeta, utwór ten uważał jako tylko ustęp z powieści p. n. *Kościelisko:* treść jej i wątek wziął z dawnych podań góralskich odnoszących się do czasu napadów tatarskich za Bolesława Wstydliwego. Oto osnowa tego podania.

Wielkie tłumy tatarów, uderzyły na *Podhale;* górale ustępowali przed liczniejszym najezdnikiem, aż do doliny znanej dzisiaj pod nazwiskiem *kościeliska.* Umiejętnie skorzystali z położenia; osadzili góry i skały co ją otaczają, zgromadziwszy na wierzchołkach kłody wielkie z drzew ściętych i ogromne kamienie. Skoro dzicz zaślepiona wpadła na tę dolinę, górale łatwo im przecięli odwrot, w jedynym bardzo wąskim przystępie, i w jednej chwili na podane hasło zaczęli na nich walić kłody i głazy. Tym sposobem co do nogi Tatarzy wybici zostali, a dolina od mnóstwa szkieletów (*KoścLelisk*) otrzymała nazwę którą dotąd przechowała *Kościeliska*, jakoby doliny szkieletów. Ślady tej porażki widać jeszcze dzisiaj na dolinie zwanej *Biała-woda*, leżącej pod *Gewontem* przy drodze z *Zakopanego* do *Kościeliska.* Rzeczywiście, wielkie mnóstwo rozrzuconych po niej kości ludzkich, daje najwymowniejsze świadectwo prawdy staremu górali podaniu.

Wychowaniec stepowy, jak malowniczo w górach opisuje płonące stosy *Sobótkowe* którym się tak zbliska a dobrze sam przypatrzył:

Szerzej i jaśniej, płaszcz ognia monarszy,
Przejrzyste poły w około rozkłada.
W osobnym tłumie zebrali się starce:
Głos ich poważny, rostropna biesiada:
A oczy żywsze przy brzęczącej czarce.
Z nimi matrony i dzieci zasiadły,
I czujne kundle przy nich się układły.
Do koła stosu mniejsze ognie świecą,
A każdy nową uciechę rozpala,
A każdy głośną opasany zgrają.
Pół widne kształty za kształtami lecą:
To ćmą, to blaskiem, jak płynąca fala,
Plączą się koła, ogniska mrugają,
Połyska w ogniu topor tanecznika,
I zręczny skoczek ognie się przemyka.

W śród tej radosnej w czerwcowej nocy zabawy ludowej, nadbiega straszna wieść o napadzie dziczy najezdników, co:

Suną się błyskiem, zawodzą ponuro,
I nakrywają górali strzał chmurą!

Kończy się poemat tym obrazem:

„A naprzód lecą i wrzeszczą Tatarzy
Po owczych kudłach, otuleni nocą,
A ognie stosu po szablach migocą.“

Widzimy z tego, że poeta w *Sobótce* dał nam tylko obraz gór i górali, zgromadzonych na obchód coroczny, przy przesileniu dnia z nocą, wiernie i poetycznie zarówno ziemię jak lud ten odmalował, ale nie dotknął w niej starego podania, które klęskę tatarską opowiada. Zamyślał Goszczyński uzupełnić powieść swoją, ale na obcej ziemi, już strun raz zerwanych nawiązać niepotrafił, ani obudzić pierwotnego w sobie natchnienia, które czerpał tak obficie wśród poszmeru lasów świerkowych i buczyny, wśród szumu górskich potoków, i tej tak ożywiającej woni balsamicznej, którą każdy powiew wietrzyku przynosił to z borów żywicznych, to zbujnych łąk ukwieconych ziołami woniącemi.

Całe lato zabawiwszy w Tatrach, gdy go zimna wczesne wygnały z tego świata górskiego, zamieszkał we Lwowie, właśnie na krótko przed mojemi osiedlinami w tem mieście. Po dwóch latach niewidzenia, uścisnęliśmy się serdecznie. Gdym go odwiedził w towarzystwie Bielowskiego, pracował wtedy nad przekładem *pieśni Ossyana* podług angielskiego wydania ich przez *Makfersona.*

---

szone z katedry, były tylko przystępnemi dla kilkudziesięciu osób, gdy kilkaset innych, do których mieliśmy nieszczęście należeć, musiało się kontentować odczuwaniem całości żadnej nie tworzącemi całości. Dobrze byłoby przynajmniej, gdybyśmy się z pracą pana Suligowskiego w druku spotkać mogli.

Nakoniec w niedzielę i we wtorek przemawiał do zapełniającej salę ratuszową publiczności, pan Eugeniusz Dziewulski objaśniając zjawiska elektryczności. Wykłady poparte doświadczeniami powiodły się doskonale, zwłaszcza że pan Dziewulski znanym już jest jako dzielny popularyzator fizyki, i publiczność zawsze chętnie spieszy na wszystkie jego pogadanki.

W salce towarzystwa dobroczynności, pan Julian Ochorowicz wyłożył swoim słuchaczom rzecz *o oddychaniu.* Pan Ochorowicz nie pierwszy już raz staje na katedrze, a wysoka nauka, doświadczenie i znajomość przedmiotu pozwalają mu najtrudniejsze nawet rzeczy uczynić przystępnemi choćby dla zupełnie nieprzygotowanych słuchaczów. To też i ostatni jego odczyt powiódł się w zupełności.

Od prelekcyi przechodzimy do koncertów. Jeden z nich urządzony na korzyść rodziny pozostałej po ś. p. Romualdzie Zientarskim, pomimo doborowego programu, pomimo występu dwóch nieznanych u nas artystów, pomimo wreszcie szlachetnego celu, w jakim był urządzony, nie zdołał sprowadzić tylu słuchaczów, ilu ich oczekiwać było można. Ogół skory zawsze do niesienia pomocy potrzebującym, zapomniał tym razem o cichym pracowniku i zasług jego ani pamięci, jak należało nie uczcił. Poczęści może winno temu i dziennikarstwo, które *ilekroć chce* potrafi w sposób dosyć energiczny i stanowczy poprzeć to, co rzeczywiście poparcia jest godnem.

Pan Mitkiewicz, tenor wystąpił z koncertem, który powiódł się dobrze pod każdym względem — publiczność bowiem licznie się zgromadziła i nie żałowała tego, bo koncertant okazał się artystą obdarzonym głosem przyjemnym, dosyć silnym i wyrobionym. Czy jednak głos ten okazałby się dostatecznie wytrwałym na scenie o tem z estrady koncertowej sądu wydawać trudno.

Panowie Lewandowski i Kuhne zakończyli już szereg swoich koncertów w resursie obywatelskiej—a pan Sonenfeld koncertuje jeszcze w Dolinie Szwajcarskiej.

Na scenie wreszcie Teatru wielkiego, przedstawiono od dawna zapowiedzianą operę Lecoqua p. t. *Córka pani Angot;* córki tej jednak nie spotkało takie przyjęcie, jakiego w gościnnej oczekiwała Warszawie. Cała niemal prasa odezwała się o niej surowo, a publiczność bawiła się wprawdzie nieźle, ale daleką była od entuzyazmu, z jakim przyjmowała kiedyś starszą siostrę tej pani, *Piękną Helenę.* Czyżby gust publiczności spoważniał?.... czy może potrzeba mu coraz pieprzniejszych przypraw? Warto, aby nad tem pytaniem pomyśleli moraliści nasi.

Wiadomo, jakie obudziło zajęcie, zachwyt nawet i uwielbienie, pojawienie się tych poezyi Kaledońskiego poety. Cesarz Napoleon I-szy miał je w swej obozowej biblioteczce, i nieraz odczytywał z upodobaniem. Zaczęto je na wszystkie przekładać języki. U nas Krasicki i Kniaźnin tłumaczyli wierszem, ale już z drugiej ręki, bo z tłumaczenia. Konstanty Tymieniecki przełożył z angielskiego, ale także wierszem rymowym. Goszczyński dla wierności w odtworzeniu oryginału, prozą przełożył. Ztego powodu w przemowie swej mówi:

„Zarzuceni tłumaczeniami Wirgiliuszów, Horaciuszów, Owidyuszów i tym podobnych *uszów* i *nieuszów*, nie mogli Polacy doczekać się w swoim języku Ossyana i jeżeli co się pokazało, to były raczej naśladowania i takie naśladowania, że z nich trudno było powziąć prawdziwe wyobrażenie o duchu tego poety. A przecież to poeta ludu północnego, pokrewnego nam z tylu względów: malarz nieprzewyższony swojego narodu, wieku i uczuć tak sympatycznych z nami. Dzięki czasowi i nowszemu pokoleniu, że prawą opinią, powraca każdemu, co mu wydarte lub zaprzeczone było. W duchu tej opinii niosę moim ziomkom ofiarę z tłumaczenia poezyi Ossyana.“

W tych słowach twórcy *Zamku Kaniowskiego* widzimy jeszcze nieuspokojone rozdrażnienie po walce *klasyków i romantyków*, które uwydatnił w obszernej swojej rozprawie drukowanej w Krakowie p. n. „*Nowa epoka poezyi polskiej.*“ W niej surowo i bezwzględnie uderzył na każdego, którego brał za stronnika przeciwnego obozu. Najwyraźniej zaś niesprawiedliwy sąd jego dotknął gienialnego Aleksandra hr. Fredrę, który tą krytyką oburzony, jeżeli nie skruszył pióra, to każdy swój utwór przechowuje szczelnie zamknięty w tece.

(*D. c. n.*)

Słówko o pośrednictwie i pośrednikach.

Że pośrednictwo osób trzecich w rozlicznych stosunkach społecznych, szkodliwie zazwyczaj oddziaływa na same te stosunki i stratę przynosi stronom bezpośrednio interesowanym, o tem zdaje się każdy aż nadto jest przekonany, a mimo to, dziesiątki tysięcy osób żyje i utrzymuje się jedynie z owego pośrednictwa. Między innemi, czyby kto uwierzył, że pośredniczących w kupnie wołów na spożycie miasta Warszawy na targu piątkowym jest ni mniej ni więcej tylko ośmdziesiąt osób, że to ich zajęcie przynosi im rocznie minimum 75,000 rsr. i że w tym stosunku mięso musi być droższem, czyli że mieszkańcy tutejsi narażeni są na niepotrzebny wydatek, nieprzynoszący im żadnej korzyści, dla wyżywienia jedynie pasożytów rozrastających się swobodnie w łonie naszego społeczeństwa.

Niedawnemi czasy jedno z pism codziennych donosiło w jaki sposób ów *ajent od dobrów*, wyłudził kilkadziesiąt rubli od pewnego obywatela w okolicach Rudy Guzowskiej mieszkającego, za przyrzeczenie nastręczenia mu korzystnej sprzedaży majątku. Wprawdzie odbyło się to z taką bezczelnością, że poszkodowany nietylko na drodze cywilnej ale nawet i na karnej ma szansę odzyskania swoich pieniędzy; ale co robić w takich wypadkach, gdzie nastręczający się pośrednik zrządzi kilkotysięczną stratę i poszkodowany nie ma najmniejszego nawet widoku jej powetowania. Między innemi opowiedzmy parę dobrze nam znanych wypadków.

Pawien obywatel sprzedał ośm włók lasu za 5,000 rsr.—Po wojnie Duńskiej, kiedy produkt leśny spadł niesłychanie w cenie w całych Niemczech, (a kupcy tutejsi tylko na rachunek zagranicznych kupców, nabywają ten produkt), nabywca lasu począł starać się o rozwiązanie kontraktu, deklarując odstępnego tysiąc rubli i zobowiązując się czekać na wypłatę kapitału lat trzy, lub wybrać go w ciągu tego czasu zbożem, wełną i t. p.—Obywatel sprzedawca lasu, ani chciał słuchać o rozwiązaniu kontraktu.

Po upływie jakiegoś czasu jawi się commis-voyageur z rasy Niemczyków, w kurtce z zielonemi obkładami, z fajką, szporami, pejczem w ręku, słowem w kompletnym uniformie, jako plenipotent grafa N. N., mającego zamiar w tych stronach kupić obszerne dobra a między niemi i majątek owego obywatela. Obywatel zaciera ręce, nie posiada się z radości, wyciąga butelczynę wina z piwnicy, częstuje grafowskiego plenipotenta i dowiaduje się z ust jego, że nie po 8,000 złotych włókę jak sam żąda, ale po 2,000 *twardych* dostanie, tak owa wioska jest konieczną do urzeczywistnienia widoków grafa. Rozłożono na stole mapę, na której las zwrócił na siebie główną uwagę przybyłego plenipotenta; skoro jednak dowiedział się o sprzedanych zeń ośmiu włókach, wręcz oświadczył, że bez tego lasu graf nawet za darmo całej wsi nie weźmie. Obywatel zaręcza słowem honoru, że to zupełnie zależy od jego woli, bo żyd prosi się i błaga o rozwiązanie kontraktu i chce stracić tysiąc rubli a nawet i więcej byle go tylko zwolnić z tego kupna. Stanęło w końcu na tem, że plenipotent zawiadomi o wszystkiem swego grafa, i w ciągu dziesięciu dni powróci dla spisania punktów przedugodnych, i równocześnie zaliczy kilka tysięcy *twardych* na zadatek, byle tylko właściciel postarał się o rozwiązanie kontraktu co do sprzedaży tego lasu. Nazajutrz obywatel pełen świetnych nadziei pojechał do miasteczka zwolnić z kontraktu owego żydka, ale tu ukazała się odwrotna strona medalu; kupiec ani chciał słuchać o niczem i właśnie był zajęty najmem robotników, mających nazajutrz zająć się wyrębywaniem zakupionego drzewa w lesie owego obywatela. Po długich certacyach, skończyło się na tem, że obywatel za uczynioną mu dogodność na niżej podpisanego dał odstępnego kupcowi 2,000 rsr., które niebawem weszły do hypoteki dóbr jako czysty wpis, a tymczasem plenipotent jak pojechał, tak dotąd niewrócił dla zawarcia przedugodnych punktów umowy i wyliczenia przyrzeczonych talarów.

Podobny wypadek miał również miejsce przed paru laty w Warszawie. Przybył tutaj z Litwy obywatel, z zamiarem kupienia znacznej nieruchomości. Jeden ze znajomych przedstawił mu dom za 65,000 rsr., który po obejrzeniu podobał się Litwinowi; prosił on tylko o kilka dni czasu, dopóki jego żona nieprzyjedzie. Zatelegrafował po żonę, której również podobała się rzeczona nieruchomość. Tymczasem różnobarwna klientela ajentów, faktorów, pośredników i t. p., dowiedziawszy się o interesie, wpadła do sprzedawcy z oświadczeniem, że mają na jego dom kupca, który mu zapłaci 70,000 rsr.—Do mającego chęć kupna udała się druga partya, twierdząc że mu daleko lepszy dom nastręczą za 50,000 rs. Ten ostatni jednak, jako Litwin, nie mając zwyczaju wchodzić w żadne interesy z faktorami, pokazał im drzwi niechcąc słuchać o żadnych układach. Ale sprzedający cofnął się i oczekiwał na kupca za 70,000 rsr. lecz bezskutecznie, gdyż kupiec ten nie zjawił się wcale, i pan właściciel, będąc w ciężkich interesach, po dwóch miesiącach musiał sprzedać dom swój temu samemu Litwinowi, lecz już tylko za 60,000 rsr. tracąc tym sposobem 5,000 rubli.

Podobnych przykładów moglibyśmy niezliczoną ilość przytoczyć. Jedynym środkiem uniknięcia strat, na jakie wszelkie pośrednictwa narażają obie strony, jest podawać swe żądania do wiadomości publicznej za pośrednictwem druku; w Warszawie i w miastach gdzie wychodzą pisma peryodyczne jak w Kaliszu, Piotrkowie, Lublinie, Kielcach i Łodzi, umieszczając je w właściwej rubryce doniesień, gdzie zaś to nie ma miejsca, rozlepiając po rogach ulic i innych miejscach publicznych jak cukierniach, handlach, restauracyach, hotelach i t. p.—Wtedy cały ten zastęp różnobarwnych ajentów, faktorów, stręczycieli, pośredników i t. p. widząc zamknięte pole do nadużyć, ujrzy się zmuszonym wziąć się do innej produkcyjnej pracy, na której być może same te indywidua mniej będą zyskiwały, ale ogół niezawodnie więcej skorzysta.

I. L. K.

Korespondencya „Ogniska Domowego.“

(z zagranicy).

(Dokończenie)

W tych dniach dostaliśmy wysokiego gościa, który podobno ma u nas zamieszkać. Jest nim arcyksiąże Jan Salwator, syn Wielkiego księcia Toskańskiego, członek domu w Austryi panującego, autor głośnej obecnie broszury, przeniesiony z pułku artyleryi w Temerzarze, do pułku piechoty Wilhelma, konsystującego obecnie w naszem mieście. Arcyksiąże liczący lat 23, zna Galicyę, rok bowiem cały jako major artyleryi bawił we Lwowie. Podejmują go z wielkiemi honorami. Przyjmował go prezydent.

Wspomniawszy prezydenta—musimy nadmienić, iż p. Zyblikiewicz pięknie się z przyjętej godności wywiązuje. Miasto zawdzięcza mu już wiele i zawdzięczać będzie jeszcze więcej, jeżeli wszystkie jego projekta przyjdą do skutku. Jak na teraz, krząta się on energicznie około ostatecznego zakończenia kwestyi odnowy Sukiennic. Dwie komissye, artystyczna i techniczna rozbierają plan młodego, uzdolnionego budowniczego Tomasza Prylińskiego.

Co do owej restauracyi wiadomo, że sprawa takowej ciągnie się już około lat 55, to jest od r. 1820, i że od r. 1867 zajmujemy się nią bardzo gorliwie. Już przed półwiekiem budowniczy Drachne robił plany tej restauracyi, które złożono *ad acta*, to jest do Biblioteki jagiellońskiej; przed kilku laty na ogłoszonym przez miasto konkursie uwieńczono plan hrabiego Platera, który jednakże potem uznano zaniewykonalny; obecnie zaś wystąpił wspomniany wyżej p. Pryliński.

Pan Pryliński położył sobie za zadanie stworzyć do tego dzieła nowy styl architektoniczny, styl który tu nazwano „legendowym;“ styl ten polega na mieszaninie stylów z wszystkich epok, na połączeniu a raczej zestawieniu jeden obok drugiego albo jeden nad drugim wszelkich gustów, na wciągnięciu do jednej i tej samej kombinacyi okrągłych łuków romańskich i ostrołuków gotyckich. Gdyby kto do muzyki chciał zastosować styl „legendowy“ wypadłoby mu połączyć w jeden akord wszystkie tony i półtony w skład gamy chromatycznej wchodzące; obraz malowany w stylu „legendowym“ miałby w jednej poło-

wie np. w prawej perspektywę, w lewej obchodziłby się bez niej, jak szkoła bizantyńska a w każdej z dwóch połów części górna i środkowa i dolna byłyby malowane odmiennemi sposobami, tak, ażeby miniaturowe wykończenie sąsiadowało z szarżowaniem dekoracyjnem, żeby akwarela była tuż obok farb olejnych i żeby w środku pewnej części obrazu wykonanej pastelami na papierze znajdował się plaster malowany *al fresco* na tynku.

Taki styl, taka nowość, takie zuchwalstwo artystyczne nie wszystkim przypadło do smaku; znawcy podzielili się na dwa obozy i walka klasyków z romantykami wybuchła. Na czele klasyków stanął budowniczy miasta Krakowa p. Nowicki, zdanie jego popiera *Czas*, robi on projektantowi mnóstwo zarzutów gruntownie uzasadnionych. Fachowo odezwał się przeciw temuż *Tydzień* lwowski.

Romantycy dotychczas w szrankach dziennikarskich nie wystąpili do boju, ale za to silnie byli reprezentowani w Komisyach, których aż dwie, jedna techniczna, a druga artystyczna obradowały kilka tygodni nad rzeczonym projektem. Aby obydwie strony zadowolić, wydano sąd w duchu klasyczno-romantycznym, czyli: przyjęto projekt z mnóstwem zmian i przeróbek. Niezupełnie zadowolony tym nie zapadłym jeszcze ale wiadomym już wyrokiem, autor planów zabrał je do Warszawy i pod sąd znawców waszego grodu oddać zamierza; spodziewać się więc należy, iż niezadługo „styl legendowy" na Wystawie Sztuk Pięknych ujrzycie, a na sąd jaki wydacie o nim, dwa sporne nasze obozy z niemałym oczekują niepokojem.

Jeszcze słów kilka o teatrze. Życie tu i pracą bardzo chwalebne. Od jesieni wystawiono mnóstwo sztuk i niektóre z nich są perłami inne dziełami grubszej roboty. W ostatnich czasach widzieliśmy „Dwa światy" Feuilleta, (przekład Z. Sarneckiego), „Hrabinę Somerive" Barriera, (przekład T. Czapelskiego), „Begum Somru" Halma, (przekład Wł. Sabowskiego), „Halifax" Dumasa, (przekład wielce utalentowanego artysty dram:, A. Podwyszyńskiego); z oryginalnych dano „Żyda" Asnyka (Ely'ego), i wznowiono kilka sztuk Fredry. Operetka krzątała się gorliwie, dysponując dobremi siłami.

Wracamy jednak na chwilę do przedstawienia, które najgłębsze wywarło wrażenie, do „Begum Somru." Utwory Halma, (niepospolitego pisarza, barona Münch von Bellinghausen) rozgościły się na scenie krakowskiej. Najprzód: „Szermierz z Rawenny," później „Syn puszczy," nakoniec „Begum," pojawiły się nieledwie w jednym sezonie. Zapobiegliwa dyrekcya teatralna, obznajmia słuchaczy rok rocznie z jednym z wybitniejszych pisarzy obcych, a niechcąc zapewne aby wyrok i sąd wydany przez ogół miejscowy był jednostronnym, niezadowolni się wystawieniem jednej sztuki rozgłośnej sławy za granicą używającego autora, tylko starannie wybiera kilka, i dopiero wyróżniony utwór przez publiczność i krytykę pozostawia w stałym repertoarze. Środek to wyśmienity, chociaż kosztowny. To co się podobało nieraz nad Dunajem, lub co z aplauzem przyjęto nad Spreą i Elbą, nawet to co nad Sekwaną cieszyło się setkami przedstawień, u nas, w naszym grodzie spokoju i ciszy pełnym, przechodzi niepostrzeżenie. My zda się mamy tu inną miarę i wagę inną w dział ocenianiu. Ceniąc bezwzględnie piękno, zręczność sceniczną, natchnienie poety, pragniemy jednak zawsze przy tem czegoś, co licuje z naszem położeniem społecznem, domowem, czy wreszcie towarzyskiem. Tego szukamy w sztukach obcych autorów, nie wspominamy tu jednak o wielkich sukcesach arcydzieł Szekspira, które na całym świecie mają prawo i racyę bytu, a utrzymując się stale w repertoarach, przemawiają na korzyść umysłu ludzkiego.

Umysł ów ludzki jakkolwiek zdaje się drobnieć w epoce materyalizmu i walki o byt fizyczny, jednakże z pod ciężaru krachów, papierów publicznych, banków, gry giełdowej, wyziera zawsze ku jaśniejszym i pogodniejszym niebom poezyi, natchnienia, szlachetnych zasad miłości i bohaterstwa.

Nie mając wyż wymienionych warunków, „Begum Somru" ani dzieło Wiliama, ani związane z naszemi stosunkami, przebojem musiało zdobyć widza. I zdobyło. Treść utworu zarówno jak budowa jest prostą. Komplikuje ją jeno trochę historya; trzy pierwsze bowiem akta tragedyi są rzeczywiście tylko kartką z dziejów kampanji indyjskiej i zaboru angielskiego. Szczupłość niniejszych ram nie pozwala nam podawać treści, ani też rozwodzić się nad licznemi jej zaletami i pięknościami. Spotykamy je w wybornem odmalowaniu duszy kobiecej, w udatnej charakterystyce anglików, we wschodnim kolorycie, w zręcznem przeciwstawieniu dwóch światów, w dosadnem określeniu środków, jakiemi posługują się zdobywcy i w prawdzie, która jakkolwiek nieraz wydawać się może za realistyczną, nie przestaje jednak budzić zajęcia i elektryzować widza. Dla specyalisty ciekawy to materyał do studyów, filistrów siła i odrębność zawsze zająć będzie w stanie

Wykonanie utworu było rzeczywiście znakomite. Z taką całością, z wykończeniem, z *mise-en scene*, chyba—mówimy to bez przesady—w komedyi francuskiej spotkać się można. Wszystko dostrajało się do jednego tonu, wszystko było pod jedną miarą, nie było tu nagromadzenia kątów ostrych, gładkość, potoczystość, swoboda rozlewały się po całej tragedyi. Każda z postaci indywidualnie wziętych, miała wiele finezyi artystycznej, którą policzyć należy na karb twórczości aktora ale też i informacyi reżysera. Bohaterska rola Begum Somru jest pełną prawdy; Alida, to kobieta z krwią i temperamentem—raz sentymentalna i marząca, to znowu ognista, rozżarta, namiętna, dzika...... Artystki, wielkiej artystki potrzeba do odcieniowania tych uczuć—jest nią pani Hoffman i dlatego podnieść mogła swą rolę. Od pierwszej do ostaniej chwili, artystka umiała się utrzymać na wyżynach; wyśmienita w pierwszych aktach, imponowała w ciągu posuwania się akcyi siłą, zapałem, ogniem. Słowem była to Begum w każdym celu, mistrzowską. Kwiatami i wieńcami słusznie słano jej drogę.

W tej chwili otrzymałem wiadomość o rezultacie konkursu. Nagrodę 1-szą (550 złr.) wziął p. Bełcikowski za „Mieczysława II;" 2-gą (300 złr.) anonym za „Dramat bez nazwy;" 3-cią (200 złr.) Juljan z Poradowa, za „Wesele Zdobywcy;" 4-tą (100 złr.) Baptysta za „Kupno i Sprzedaż." Ażali komisya miała co nagrodzić—zobaczymy. *B—o.*

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE

od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Pamiętając teraz przesadne wyrażenia naszej powieści o Madeju, zwłaszcza pod jej koniec, posłuchajmy autora opisu męczeństwa biskupa Wojciecha, jak opowiedziawszy znane już nam szczegóły ścięcia apostoła, i przyniesienia jego głowy przez wędrowca do stolicy Bolesława - Magnusa I, rzecz swoją tak dalej prowadzi:

„Jakiś zbrodniarz, bez watpienia za swe przestępstwa skuty obręczami żelaznemi i mający nazajutrz być ścięty, skoro ujrzał głowę męczennika został uweselony swych okòw spadnięciem, i tak za sprawą męczennika bożego od kaźni uwolniony."

Ten sam wypadek opowiada kronika klasztoru francuskiego w Moyenmoutier, pochodząca z XI wieku, dołączając ważne objaśnienia. Czytamy w niej mianowicie, że „ojcobójcy" żelaznym pętem zwykle sobie obejmują ręce lub głowę, i póty szukają ratunku u świętych poza granicami swego kraju, aż materyalne pęknięcie okòw wskaże im, że duchowne rozgrzeszenie ich grzechów już nastąpiło. Jeden z takich ojcobójców przybył do klasztoru w Moyenmoutier, mając już tylko na jednej ręce okowy; z drugiej opadły one w Palona (Polanii) przy grobie Ś. Wojciecha.

Podanie Zamagórskie, dziwnie zgodne z tą wiadomością o zbrodniarzu cudownie wybawionym od kary ścięcia na widok głowy męczennika, wystawia nam Krudynhopa, jako męża niegdy wojennego, wspomnieniem jakiejś zbrodni do zbójectwa popchniętego. Benedyktyn sprowadzający w Krudynhopie skruchę; chłopiec zczasem zostający biskupem i jako taki rozgrzeszający Madeja; głowa apostoła Prusaków toż samo sprowadzająca swym widokiem; ojcobójstwo Madeja, jakoteż zbrodniarza (z kroniki Moyenmoutier i opisu męczeństwa Ś. Wojciecha), który podobnie ma być ścięty jak Krudynhop—te i tym podobne szczegóły trzech zestawionych przez nas podań tak się do siebie zbliżają w ogólnych rysach, że z małą obawą błędu można uważać baśnie o Madeju, Krudynhopie, Lipsikulanie i t. d. za przekształcone i zmącone obcą treścią waryanty historycznego jakiegoś wypadku, którego ślad zachowały nam dwa źródła niezależne a spółczesne w przygodzie zaszłej przy relikwiach Ś. Męczennika.

Madej najdalej odstąpił od dziejów, a raczej pierwiastek mityczny, najsilniej się ujawnił w tej gawędzie o zbóju, którego imię przypomina także słynnego rozbójnika—bohatera, Promoteusza. Pałka tego zbója nie jest wprawdzie krzeszącem ogień drewnem, zapalniczką kryjącą żywioł życiodajny, skradziony bogom przez Prometeusza. Ale śmiercionośna Madeja maczuga zamienia się w owocodajną jabłoń, w drzewo obrzędowe naszych wesel i pieśni ślubnych, w drzewo, którego jabłka przemieniają się w dziewicę lub gołębie, oba godła nowego życia z związku dwu płci wynikającego. Promoteusz syn Jafeta, ojciec niejako rodu ludzkiego spotyka się z Madejem słowiańskim, którego imię zapisały dziesięciowiekowe źródła arabskie (Massudi) jako syna Jafeta a praojca całego szczepu Słowian.

Godna uwagi, jak grecki tytan odmawia choćby słów najlżejszego uznania dla nowej dynastyi Bogów na Olimpie, i woli raczej na Kaukazie być szarpanym przez sępy, jak się poniżyć tą abdykacyją dawnej władzy, gdy jego bliźniak Madej spotyka się w podaniu z apostołem nowej wiary, i odrazu, niby gromem rażony, pada mu do stóp w największej skrusze. Niejestże to symbol ducha greckiego i słowiańskiego? niejestże to wskazówka ich różnicy?

W niespełna lat dziewięćset wziął się potem nowy Prometeusz za bary z Bogiem, i w postaci Gustawa-Konrada poprobował się z Nim „na rozumy." Po scenie bluźnierczego wyzwania w Dziadach, nastąpiło ukorzenie przed człowiekiem, którego (mieszkania) liczbą było „44."

Kończymy na tem rzecz o najgłośniejszym u nas Poraicie, aby przejść do dziejów drugiego.

Widzieliśmy Gaudentego przy boku męczennika-apostoła w jego ostatniej wędrówce na ziemi, do Prus odprawionej 997 r.—Później spotykamy go na dworze Bolesława-Magnusa, jak potwierdza z Boguszą szczegóły powieści wędrowca, który znalazł głowę św. Wojciecha. W końcu roku 999 zjawia się Gaudenty-Radym w Rzymie i występuje 2 Grudnia jako świadek na jednym z tamtejszych aktów. Podpisał się zaś „arcybiskupem wezwania św. Wojciecha.“ W istocie Poraita ten jest pierwszym zwierzchnikiem kościoła katolickiego w Polsce, i to już od Niemców niezależnym hierarchicznie. Jordan biskup Dąbrówki i Ottona I, około 983 zmarły, jak i jego następca (zmarły 1012) Unger, zawiadywali dotąd całem państwem Pastów pod względem kościelnym, w charakterze sufragana archidyecezyi magdeburskiej. Obecnie w Rzymie między cesarzem Ottonem III a dawnym jego nauczycielem, dziś papieżem Sylwestrem II, staje nowy układ co do porządku rzeczy duchowych w ziemiach słowiańskich. Ku uczczeniu pamięci apostoła Prusaków, ma być nowa archidyjecezyja w Gnieźnie wykrojona z dawnego, jedynego na całą Polskę, biskupstwa w Poznaniu. Jej naczelnikiem, jak widzieliśmy, już w Rzymie znaczony był brat umęczonego. Za sufraganów dodani mu zostali z wyjątkiem Ungera poznańskiego, jeszcze i nadal sufragana Magdeburga, biskupi Reinbern, Poppo i Jan, którzy na trzech krańcach państwa Bolesławowego zasiedli, jakby na straży duchowej orężnych jego zdobyczy. Jan Kanaparz żywociarz św. Wojciecha snać nie w przenośnym stylu powiedział o Gdańsku, że gród ten leży w połowie nadmorskich prowincyi Bolesława-Magnusa. Daleki Kołobrzeg, również nadmorski, u Prośnicy położony, zostaje teraz siedzibą pierwszego z powyżej wzmiankowanych biskupów, jako najdalej na zachód posunięta czata nowotworzącej się narodowości. Jan zasiadł w Wrocławiu, na Szląsku, będącym źródłem takich sporów między Polską a Czechami, jak Pomorze między pierwszym z tych krajów a Skandynawią. Poppo obrał Kraków na stolicę swego biskupstwa. Było to utwierdzeniem na drodze kościelnej organizacyi tego, co niedawno Bolesław-Magnus był osiągł w otwartym boju. Widzieliśmy tak z aktu erekcyi biskupstwa pragskiego 976 r. zakreślającym granice tej dyecezyi po Bug i Styr, jakoteż z aktu darowizny Gnieźnieńskiego państwa Janowi XV, że Kraków za Mieszka-Lamberta I do dzierżaw jego nie należał. Wyraźnie też polska kronika Mateusza Cholewy wylicza Chrobatów (Cravatios), obok Węgrów i Pieczyngów, (Mardos) a czeska Kozmasa, jeszcze dobitniej Kraków, w poczcie zdobyczy Bolesława-Magnusa Mieszkowica. Podstępem książę ten miał zdobyć Kraków, przyczem wyrżnął ludność co do nogi, w chwili, kiedy śmierć Bolesława II 999 r., dała powód jego synom do sporów o Czechy i odwróciła ich uwagę od dalszych posiadłości. Zdobycz ta położyła kres zbliżaniu się monarchii Włodzimierza W. ku zachodowi, w głąb ziem lechickich.—Władzca ten kijowski już 981 r. zajął Przemyśl i Czerwień, miasta osiadłe przez plemię Lachów. W roku zaś 992 najechał Chrobatów, a Bolesław tłomaczy się Ottonowi III, w tym roku, że niemoże sam się stawić z wojskiem w obozie niemieckim, albowiem zawisła mu nad karkiem wielka wojna z Rusią. Jeszcze, jako niewładzcy Chrobacyi, wojna ta o tyle groźną mu się zdawała, o ile dotykała sąsiadów. Przebiegu wypadków jej samej, niewiemy zupełnie. Ze zdobycia jednak Krakowa przez naszego Bolesława na Czechach, okazuje się widocznie, że wojna owa r. 992 z Chrobatami, nie zapewniła Włodzimierzowi żadnych nowych nabytków w tej stronie.

(*D. c. n.*)

NIEBIESKA SUKIENKA,

POWIASTKA.

PRZEŁOŻYŁ Z FRANCUSKIEGO

B. Pohorecki.

(Dalszy ciąg).

Powodzenie Van Coppenaëla było takie, że nawet Rudolf zaczął mu zazdrościć.

Od tej chwili Van Coppenaël postawił się w domu pani Frenays, na stopie przyjacielskiej i związki te coraz bardziej się utrwalały.

Matka Rudolfa była bardzo zadowoloną, widząc w takim człowieku przyjaciela swego syna—a młoda Julia tylko o nim mówiła; służący nawet podlegli temu urokowi.

Dzięki talizmanowi swego pana, Gottlieb został przyjęty z otwartemi rękami w przedpokoju.

Van Coppenaël w krótkiem czasie był przedstawiony w wielu arystokratycznych salonach; lecz koniec sezonu sprowadził wszystkich do Paryża. Tak więc, jak Rudolf przepowiadał, Van Coppenaël zrobił furorę: wyrywano go sobie.

Musimy jednak powiedzieć, że te powodzenia nie wielką radość sprawiały Van Coppenaëlowi, były nawet godziny, w których śmiertelnie się nudził. Rudolf, który zawiązał z nim prawie braterskie stosunki, ze smutkiem spostrzegał, że brakowało czegoś poczciwemu Holendrowi. Lecz starannie unikał tego wszystkiego, coby mogło wzniecić rozmowę o stanie duszy swego przyjaciela.

Czas swoim trybem ubiegał. Termin naznaczony przez Van Coppenaëla na odjazd z Paryża, termin — o którym Rudolf prawie zapomniał—gdyż Van Coppenaël nie miał zwyczaju powtarzać raz wyrzeczonych słów—termin ten, zbliżał się ku końcowi.

Van Coppenaël zaś, prowadził jednakowe życie: odwiedzał swoje kanarki w Orleanie i Paryżu, bywał w świecie, widywał się często z Rudolfem,—i... nudził się.

XIV.

Kuzyn i kuzynka.

Jednego poranku Rudolf odwiedził Holendra.

— Ranny ptaszek z ciebie, jeszcze nie ma ósmej — rzekł do niego śmiejąc się Holender który już od dwóch godzin wstał, poświęcając ten czas swojej ptaszarni.

— Mój kochany Coppenaëlu, Gottlieb powiedział mi wczoraj, że wyjeżdżasz za trzy tygodnie, chciałem z tobą pomówić.... lecz przedewszystkiem powiedz mi, czy rzeczywiście jedziesz za trzy tygodnie?

— Tak—odrzekł Van Coppenaël.

— A jakże z twojem małżeństwem?

— Mój kochany.... ja niewiem.... odrzekł z zakłopotaniem.

— Powiedziałeś mi przecie, że przed wyjazdem wszystko ukończysz. Zmieniłeś zdanie?

— Nie.

— Nie? wyborny jesteś: nie?—A jeśli wyjedziesz?

— To nic nie stanowi.

Rudolf zaczął się śmiać.

— Zrozum że go teraz!—rzekł.

Potem dodał poważnie:

— Dlaczego niemiałbyś się ożenić z moją kuzynką?

Van Coppenaöl zaczerwienił się jak piwonia.

— O!... o!... odrzekł.

— Więc nie chcesz?—zapytał Rudolf.

— O!... o! powtórzył Holender coraz więcej zakłopotany. Czyż panna de Fargues chciałaby mnie za męża?

— Dlaczego nie? Ja to biorę na siebie.

— Chcesz żartować ze mnie, mój kochany de Frenays.

— Zupełnie nie myślę.

— Ach!—rzekł Van Coppenaël z westchnieniem komicznem — jest to zachwycająca panienka,—trochę wesoła, trochę żartobliwa,— lecz bogata w przymioty. Ten kto się jej spodoba będzie bardzo szczęśliwy!

— Któż ci przeszkadza być tym człowiekiem?

— To niemożebne. Czyż panna de Fargues mogłaby mnie kochać? byłoby to śmiesznem.

— Jesteś zanadto skromny Coppenaëlu. Powiedz tylko tak,—i pozwól mi działać.

— Przestańmy żartować—rzekł poważnie Van Coppenaël.

— Zaczynasz mnie już niecierpliwić! Czyż nie mam miny poważnej? Dlaczegoż odmawiasz ręki mojej kuzynki?

Holender nic nie odpowiedział.

— Przynajmniej—rzekł Rudolf, odłóż swój wyjazd na później.

— Nie mogę.

— Skończmy już raz, odparł Rudolf. Coppenaëlu, jesteś godnym i wybornym chłopcem, dawno już o tem wiedziałem; można z tobą pomówić otwarcie. Właśnie chcę to uczynić. Wiedz o tem dobrze, że nigdy bym sobie nie pozwolił, w żadnym razie, dręczyć ciebie niestosownemi żartami. Powiem ci więc otwarcie, że moja kuzynka sama przysłała mnie do ciebie.

Van Copenaël zaczął się kręcić jakby w szaleństwie. Można go było wziąć za okręt kołyszący się w czasie wielkiej burzy. W całem swem życiu nie był w podobnych tarapatach.

Rudolf mówił dalej:

— Miałeś czas poznać Julję, nie będę ci mówił ani o jej majątku, ani *o jej nadziejach*, jak nazywają w świecie, nie lubię tego słowa. Nie jest tak bogatą jak ty, lecz mówiłeś mi, że to dla ciebie kwestya bardzo małej wagi.

— Tak, odrzekł Holender aby coś odpowiedzieć.

— Muszę jednak dodać że nie brakuje jej na starających się. Odmówiła nawet kilku świetnym partyom,—świetnym nietylko przez pozycyą majątkową, lecz mówię tu o indywidualnej, osobistej stronie kunkurentów: Juljusz d'Alegre, Ludwik d'Oss—których znasz, są ludźmi, z których każda kobieta byłaby dumną. Ale—baronowi Laur—którego przedwczoraj poznałeś u mojej ciotki, takze się niepowiodło, nie chce jednak jeszcze dać za wygraną....

— O! wierzę temu bardzo!—westchnął Van Coppenaël.

— Kuzynka moja—dalej ciągnął Rudolf,— pozornie zdaje się być płochą i trochę może zalotną, lecz w gruncie, ukrywa serce szlachetne i prawe. Ma wiele rozsądku, czego braknie wielu kobietom. To znaczy, że powinna ciebie kocbać. No jakże, namyśliłeś się?

XV.

Postanowienie.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Van Coppenaël, zaczerwieniony, kaszlał, pluł i niewiedział co z swoją figurą robić. Jednak w koń-

cu trzeba było odpowiedzieć—co uskutecznił z wielkiemi trudnościami, szukając słów—a często ich nie znajdując.

— Zrozumiesz pan wkrótce wszystkie powody mojej odmowy,—nieprawda kochany panie Rudolfie? Najprzód—szczęście którегobym dostąpił—zbliżając się więcej do ciebie, przez związki rodzinne. Bo rzeczywiście — jesteś bardzo miły—bardzo przyjemny....

— Dobrze! dobrze! cóż dalej?

— Muszę ci także oświadczyć—ile mi przynosi zaszczytu, to jest — zadowolenia— to jest... Wy francuzi odrazu rozumiecie co się do was mówi. Nie mogłem sobie tego nigdy wyjaśnić.—Widzisz mój kochany Rudolfie—kuzynka twoja—niemoże mnie kochać.

— Alеż...

— Pozwól mi mówić, bo inaczej nie dojdę do końca. Panna Julia jest osobą bardzo—ładną—godną uwielbienia—tak, godną uwielbienia... Tak.—Lecz jest więcej niż Francuzką, jest paryżanką. O! wiem dobrze co mi brakuje, nie, ona nie może mnie kochać!

Rudolf chciał odpowiedzieć:

— Nie!—odrzekł Van Coppenaël.—Być może, że pod moją powierzchownością holenderską—pod moją ociężałością niedźwiedzią—poznała człowieka który nie jest tak bardzo zły, i zasługuje na pewien szacunek, ale co do kochania!...

— Ale ona ciebie kocha! mówię ci. Sama mi to powiedziała; zresztą ja się znam na tem!

— Kochany Rudolfie, pozwól mi wypowiedzieć moje ostatnie słowo. Panna Julia, twoja kuzynka, która mnie obecnie chce zaszczycić swoim szacunkiem, przeżywszy ze mną rok...

— Cóż znowu?

— Przypuśćmy dwa lata, pięć lat, jeżeli chcesz — zobaczyłaby że we mnie nie ma nic takiego, coby się mogło podobać osobie tak zachwycającej jak ona. Otóż nigdybym się nie ożenił z kobietą, którą miałbym kiedyś unieszczęśliwić. Z tą bojaźnią nie przeżyłbym ani jednego dnia!.... Zastanów się nad tem kochany Rudolfie, to jest niemożebnem. Pragnąłbym, żeby mogło być inaczej — gdyż twoja kuzynka jest tak!...—O! rzekł zapalając się,—bardzo bym ją kochał!

I poczciwy Holender, zawstydzony tą zbytnią podług niego gadatliwością, umilkł nagle. Potem wziąwszy za rękę Rudolfa, rzekł z niespokojnem spojrzeniem.

— Tak mój kochany przyjacielu, nie gniewaj się na mnie!

— Jesteś uczciwy człowiek—rzekł Rudolf, ściskając go serdecznie za rękę. Lecz wyznaję, że inaczej się zapatruję na to wszystko, i z trudnością odstąpię od tego małżeństwa. Gdyby Julia dowiedziała się o przyczynach twojej odmowy, pokochała by cię więcej jeszcze. Głupie zlecenie którem mnie obarczyła. Co począć teraz? Powiem, że jesteś gdzieindziej zobowiązany. Ale zastanów się jeszcze, masz kilka dni do namysłu....

— O! odrzekł Van Coppenaël, zastanowiłem się już; muszę jechać.

— Cóż robić, jeżeli już tak koniecznie chcesz? Lecz cóż na to mama Coppenaël?

Tu nasz Holender trudniej odetchnął. Zaczerwienił się i zaczął chodzić po pokoju.

— Coppenaël! ty masz mi coś powiedzieć!—zawołał Rudolf.

XVI.

Stanowcze słowo.

Holender zatrzymał się przed nim—i skrzyżowawszy ręce, które mu bardzo zawadzały—rzekł:

— A więc tak, i gdybyś dzisiaj rano do mnie nie przyszedł, miałem sam iść do ciebie kochany Rudolfie.

— Mów więc, słucham z uwagą.

— W moim kraju, chcąc powiedzieć coś ważnego, używamy do tego kilka słów. Żądam od ciebie wielkiej przysługi.

— Rozporządzaj mną,—rzekł Rudolf—zadowolniony że chociaż raz może być prawdziwie użytecznym swojemu przyjacielowi.

— Wydam ci się bardzo śmiesznym, — jestem tego pewny, wszelako, gdybyś nie robił mi żadnych uwag, żadnych przedstawień, byłbym ci bardzo wdzięczny. Muszę koniecznie wyjechać. Napisałem już oznajmiając swój powrót, będą więc o mnie niespokojni. Z drugiej strony, chciałbym zmienić mój stan, przejść w inną fazę życia; jednem słowem, postanowiłem nie wracać do Holandyi bez żony. Jestto *ostateczność fatalna*, jak sam mówisz, lecz postanowienia mego nie zmienię. Przypominasz sobie w Etampes tę małą w niebieskiej sukni, która nam przyniosła ciastka? Otóż z nią chciałem się ożenić,—i zrobisz mi wielką łaskę, gdy rozmówisz się z jej ojcem i poprosisz w mojem imieniu o jej rękę. Jestem oddalony od kraju i nieznany w tych stronach. Przedstawiony przez ciebie, nie będę miał miał już żadnej trudności. Teraz mój przyjacielu, wszystkie nagany, wszystkie zarzuty i przedstawienia pochodzące z twej strony, zmartwią mnie tylko, nie zmieniając wcale mego postanowienia — które jest nieodwołalne!

Rudolf oniemiał z podziwienia...

— Pozwól mi przynajmniej zrobić zapytanie rzekł nieprzestając patrzeć na swego dziwacznego przyjaciela. — Dlaczego chcesz koniecznie z nią się ożenić, a nie z inną?

— Dlatego, że mi się lepiej od innych podoba. Naprzód, dziewczyna która przez trzy miesiące chodzi w jednej niebieskiej sukni (miała ją jeszcze i wczoraj) zawsze czystej,—dziewczyna taka rokuje bardzo porządną żonę. Uczynię ją daleko szczęśliwszą niż się mogła kiedykolwiek spodziewać, i będzie mi za to wdzięczna. Potem, nie chcąc odwlekać wyjazdu, nie miałbym czasu zrobić innego wyboru, a chociażby mi nawet nie zależało na czasie, to i tak trwałbym w mojem postanowieniu.

— Dobrze, ale czy znasz przynajmniej jej rodzinę?

— Dowiedziałem się o wszystkiem przez mego Gottlieba, — który pod tym względem jest bardzo zręczny. Rodzice nie bardzo mi się podobają, lecz dam jej przyzwoite utrzymanie pozostawiając ją we Francyi. Matka już dawno umarła. Ojciec jest urzędnikiem na stacyi, i ma być cokolwiek interesowanym a nawet skąpym. Jeżeli dotychczas nie zrobił majątku, to tylko dla tego, że musi być uczciwym człowiekiem.

— A czy pewnym jesteś, że będzie ci chciał oddać swą córkę? — rzekł ostatecznie Rudolf, niewiadomo.... któż zaręczy że ona nie ma jakiej skłonności?...

— Ach!—odrzekł westchnąwszy Van Coppenaël,—toby mnie bardzo zmartwiło... jednak Gottlieb zapewnił mnie... Co się zaś tyczy przyzwolenia ojca, w tem właśnie ty mi pomożesz. Jednak gdyby to posłannictwo miało ci być nieprzyjemnem, sprobóję sam, — lecz wątpię czy mi się uda, gdyż jestem nieśmiały....

— Rozmawiałeś już ze swoją przyszłą?

— Nigdy.

— Cóż robić,—rzekł Rudolf wpatrując się w poczciwą twarz Holendra, nie można ci odmówić.

— Więc jedziesz? — zawołał rozradowany.

— Pojadę,—jesteś szczególny człowiek,—któżby do djabła pomyślał patrząc na ciebie, że się ożenisz z miłości!

— O! — rzekł Van Coppenaël, zastanowiwszy się trochę,— to jest małżeństwo z rozumu!....

(*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

— „Kijewlanin“ drukuje obecnie artykuł o **Podziemiach berdyczewskich.** Pod miastem Berdyczewem znajdują się liczne podziemne galerye, wykopane lub wymurowane w ziemi. Dawność ich istnienia zdaje się świadczyć za tem, iż głównym celem urządzenia ich, była chęć skrycia się przed napadami Tatarów. Podziemne te przejścia są bardzo długiemi—niektóre z nich kończą się rodzajem sal, najdłuższa galerya ma 75 arszynów długości, wysokości $2\frac{1}{2}$ arszyna, szerokości 2 arszyny. W roku 1867 władza miejscowa wyznaczyła osobną komisyę dla zbadania tych podziemi. Komisya ta zwiedziła je całe, i wyrzekła, iż cały Berdyczew zbudowany jest na tych podziemiach, wykopanych na przestrzeni przeszło 400 wiorst.

— W **Wilnie** krzątają się około urządzenia w tem mieście wystawy sztuk pięknych.

— Ostatnie **przesilenie finansowe** w Wiedniu jeszcze odczuwać się daje, będąc najbardziej przykrem dla klasy rzemieślników i przemysłowców. Wielu właścicieli znacznych fabryk, którzy w warsztatach swoich setki ludzi zatrudniali, zmuszonymi jest obecnie ograniczyć liczbę pracujących u nich robotników, tym sposobem mnóstwo ludzi pozostaje na raz pozbawionymi zajęcia, a z niem i środków utrzymania. Fabryka machin Siegla rozpuściła kilkanaście dni temu 200 robotników, inne fabryki codziennie prawie równym kontyngensem ludzi pozbawionych chleba obdarzają Wiedeń, co w przyszłości może wywołać przykre zajścia—lub spowodować liczną już i teraz emigracyę.

— Fabryka zapałek „**Wulkan**“ w Szwecji pod Gotenborgiem zgorzała, w płomieniach znalazło śmierć 44 osoby, które nie zdołały uciec z gorejących warsztatów.

— W wydawanym w Lipsku „Zbiorze kronik miast niemieckich“ w tomie XI pomieszczoną jest kronika piwowara z Norymbergi, Henryka Deischlera—w której przytoczonym jest szczegół z życia **Wita Stwosza**, odnoszący się do historii sfałszowania wekslu przez tegoż ostatniego. Podajemy tu słowa Deischlera, pisane pod datą 4-go grudnia 1503 roku: „W poniedziałek, w dniu świętej Barbary piętnowano Wita Stwosza na obu policzkach, tak jednak łagodnie jak nikogo przedtem nie piętnowano. Sprawa była o złotych 1300. Wit złożył złotych 1000 u pewnego kupca, dla prowadzenia jakiegoś przedsiębierstwa, w którego zyskach lub stratach zastrzegł był sobie udział. Gdy po niejakim czasie kupiec ów, który zwał się Paner zerwał z Witem współkę, chciał zwrócić mu pieniądze, to jest 1000 zł. do których był dołożył 300 zł. jakie temi pieniędzmi zarobił. Snycerz Wit rzekł wtedy do Panera: wskaż mi kogo, któremu mógłbym te pieniądze powierzyć aby mi nie przepadły. Paner oddał pieniądze niejakiemu Starzedelowi—który był mu winien poprzednio summę złotych 600 i takowe Paner z owych 1300 złotych sobie potrącił. Starzedel uciekł i pieniądze Wita zabrał ze sobą. Wit wpadł tedy w złość i starał się wynaleść sposób, którym by zmusił Panera do powtórnego oddania mu owych 1300 zł. sądząc, iż ten go umyślnie o stratę pieniędzy przyprawił. W tym celu Wit przepisał rewers charakterem Panera, tak że zupełnie jakby przez Panera napisany wyglądał, i podrobiwszy jego pieczęć, wycisnął ją na rewersie i żądał na mocy tego dokumentu zwrotu pieniędzy. Procesowali się przez dwa lata, aż w końcu Wit odpokutował za swe sprawy. I musiał przysiądz iż dopóki żyje z miasta tego nie wyjdzie i bardzo błagał, gdy mu oczy wyłupić chciano.“ Pod datą 28 marca 1506 roku pisze Deischler dalej: „Następnie w sobotę schwytano snycerza Wita, którego poprzednio na obu policzkach piętnowano, a to gdy z kościoła szedł do szpitala—po tygodniu jednak wypuszczono go bez ukarania.“

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr. 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawa, **Bronisław Przyrembel.**